

KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI

ODPOWIEDŹ TRADYCJONALIŚCIE

Uważam, że nie ma nic gorszego w polemice, jak wymiana poglądów metodą Hammurabiego: argument za argument, paradoks za paradoks. Chciałbym zatem włączyć do odpowiedzi K. Kucharskiemu sprawy ogólniejsze. Przed zarzutem, iż naruszam metody *fair play* niech chroni mnie fakt, iż K. Kucharskiego stać na drobiazgowość i rygoryzm, bo porusza się na gruncie tradycyjnych ujęć i interpretacji, ja zaś wypuściłem się na obszar na poły dziewiczy, o niepewnych założeniach i nie ustalonej terminologii. Nie mogę więc w związku z tym cytować i powoływać się na autorytety tak często, jak czyni to mój oponent. Będąc ograniczonym w skrupulatności wybieram swobodę i nadaję swej replice charakter felietonowy.

Prawdę powiedziawszy spodziewałem się krytyki tego typu. Moje zanegowanie *tradycyjnego ujęcia sił wytwórczych* (K. Kucharski) musiało doprowadzić do niezadowolenia Tradycjonalistów. Ustami autora krytyki przemówił pewien styl uprawiania marksizmu, nobliwy lecz wypalony wewnątrznie, biegły w literaturze, lecz pozbawiony ducha. Nie mam pewności, czy to ja pojąłem istotę nauki Marksa. Wiem jednak na pewno, że jeśli ja oddalam się od myśli klasyka, to Tradycjoniści oddalają się w co najmniej takim samym stopniu od rzeczywistości.

Cóż zatem zarzuca mi Tradycjonalista? Najpoważniejszy zarzut brzmi, iż moja analiza (i jej poziom) *jest najdobitniejszym przykładem odrzucenia metodologicznego wymogu teorii marksistowskiej konkretno-historycznej analizy* (styl!). Znam ten postulat i wiem, co on zapowiada. Gdy zadaję pytanie *Co stanowi klucz do rozumienia wzrostu sił wytwórczych?*, Tradycjonalista odpowiada: *Jak to, nie wiesz? Zawsze konkretno-historyczna analiza*. Ciągnę dalej: *Wiesz, mam kłopoty z uchwyceniem esencjalnych czynników wzrostu sił wytwórczych w II połowie XX w. Czy mógłbyś przeprowadzić jakąś konkretno-historyczną analizę?* — nalegam. *Ależ proszę!* — odpowiada, bierze mnie za rękę i prowadzi... w wiek XVIII! Jeśli się rozpędzi, zdarza mu się dotrzeć i do XV. *Spójrz — mówi — tu jest manufaktura, a tu produkcja cechowa, tutaj kądziel, a tu latające czółenko, tu rzeczowe i podmiotowe czynniki produkcji są zabezpieczone w samym procesie produkcji, a tu muszą reprodukować się poza procesem produkcji...*

Czasem Tradycjonalista daje się namówić na analizę rozwiniętego kapitalizmu. Cytuje wtedy B a l i b a r a: *Istotą „sił wytwórczych” w kapitalistycznym systemie produkcji jest to, że są one stale w trakcie przechodzenia od pracy ręcznej do mechanicznej.* Przypomina mi się w tym momencie jugosłowiańska karykatura. Przy kowadle stoi kowal i kuje podkowę. Zwykły kowal trzyma ją lewą ręką za pomocą szczypiec, a prawą wali młotem. Ale przedstawiony kowal, to kowal na wysokim poziomie sił wytwórczych, choć obdarty jak dawniej: z lewej jego strony piętrzy się ogromna maszyna, która uruchamia hydrauliczne ramię trzymające szczypce, z prawej zaś pracuje jeszcze większa maszyna, której ramię wali rytmicznie młotem. Kowal stoi i czeka, kiedy przycisnąć guzik *stop*. Obok inżynier objaśnia oficjela: *Najznacześniejsze sukcesy osiągnęliśmy w eliminowaniu pracy ręcznej na korzyść zautomatyzowanej...* Tradycjonalista może mnie skarcić, że karykatura przedstawia *konkretno-historyczne* błędy i wypaczenia. Otóż nie. Uzmysławia ona powszechną absurdalność utożsamiania wzrostu sił wytwórczych z przechodzeniem od pracy ręcznej do pracy maszynowej. Konkretno-historyczna analiza ujawnia to samo również w warunkach kapitalizmu. Na czym polega siła wytwórcza koncernu *Hitachi*? Między innymi na tym, że 40% jego poddostawców to chałupnicy: raz na tydzień przychodzą do fabrycznego magazynu z koszykami, odbierają elementy elektronicznych modułów i w domowym zaciszu montują je w odpowiednie układy. Ich walor to nie praca maszyn, lecz obowiązkowość, skupienie i opanowanie. Na ich przykładzie widać, że praca maszyn to jeden z elementów postępu cywilizacyjnego, towarzyszący mu co prawda stale, lecz należący raczej do sfery zjawiskowej, niż esencjalnej. Aby faktycznie odgrywała ona rolę, musi zostać spełniony cały szereg innych warunków. Jakich? Na to pytanie starałem się właśnie odpowiedzieć.

Karykatura z kowalem jednak nie śmiesz. Jest ona w gruncie rzeczy ponura. Wywołuje jakże znaną wizję gospodarki zamkniętej w jałowym kręgu: wytwarzanie środków produkcji — inwestycje w sektorze A — zwiększone wytwarzanie środków produkcji... Daleki jestem od monokausalnego-wyjaśniania zjawisk społecznych, ale sądzę, że w opisie genezy ekstensywnej gospodarki realnego socjalizmu nie sposób przecenić wpływów teoretyków *tradycyjnego ujęcia sił wytwórczych*.

Ale wróćmy do zarzutów. Konkretno-historyczna analiza — nieobecna w moim tekście — sytuacji krajów rozwijających się prowadzi, zdaniem K. Kucharskiego, do wniosku, że *rozwój na drodze kapitalistycznej oznacza dla krajów zacofanych nic irinego, jak „rozwój niedorozwoju”*. Przypomina się w tym momencie inny dowcip rysunkowy. Szosą, na rowerze, ubrany w waciak i czapkę a la M a o, jedzie potężny mieszkaniec Chin kontynentalnych. W pewnej chwili wyprzedza go jadący Mercedesem

drobniutki Tajwańczyk. Rowerzysta krzyczy za odjeżdżającym: *Te, mały! Może pomóc ci się rozwinąć?* Ale i ten dowcip jest marną atrakcją w zestawieniu z fenomenem, jakim jest mentalność Tradycjonalisty. Kiedy się z nią stykam, zadaję sobie zawsze pytanie: co powinno się wydarzyć, aby zechciał zweryfikować swoje poglądy, bądź aby przynajmniej poczuł, że jego teoria zaczyna odstawać od rzeczywistości? Jeśli załamanie się gospodarki planowej we wszystkich krajach socjalistycznych (oprócz Albanii) nie jest w stanie zachwiać jego poglądu, iż *rozwój (...) w krajach nierozwiniętych nie może dzisiaj odbywać się inaczej, jak na podstawie przedsiębiorstw państwowych i wszechstronnego planowania*, to znaczy, że jest on jakby leibnizjańską monadą bez okien, wysnuwającą wiedzę ze swego wnętrza. Niestety, jego upór uświadamia, że nie istnieje harmonia przedustawna, i że nie żyjemy w najlepszym z możliwych światów.

Tradycjonalista może chcieć zvekslować problem na analizy konkretno-historyczne. *To nie gospodarka planowa w ogóle uległa załamaniu* — będzie utrzymywał — *ale konkretne gospodarki narodów i to na skutek splotu obiektywnych czynników i subiektywnych błędów*. Jeśli to zrobi, ukaże propagandowo-manipulacyjny sens swego metodologicznego postulatu. Postulat ów pozwala bowiem rozgrywać analizę na dwóch (lub więcej) płaszczyznach jednocześnie, przy czym każda z nich stanowi miejsce ucieczki w przypadku, gdy fakty lub ich konsekwencje możliwe do zaobserwowania na innej płaszczyźnie nie potwierdzają teorii. I tak stwierdzeniu, że wprowadzenie gospodarek planowych w krajach afrykańskich pogorszyło ich sytuację ekonomiczną, czyli doprowadziło do spadku sił wytwórczych, postawi Tradycjonalista zarzut ogólnikowości. Domagać się będzie również konkretów, gdy powiemy, że eksportujący do połowy lat siedemdziesiątych żywność Mozambik popadł w katastrofalny głód po reformach gospodarczych przeprowadzonych przez marksistowską partię FRELIMO. Gdy wskażemy jako konkretny przykład farmę ananasów, która prowadzona przez właściciela Portugalczyka dawała produkcję 50 ton rocznie, po upaństwowieniu zaś może ledwo wykarmić zatrudnionych na niej pracowników. Tradycjonalista może powiedzieć, że w tym konkretnym przypadku winna jest nie forma własności, ale susza. Jeśli na to odpowiemy, że susza również była w sąsiednim Zimbabwe, a mimo to nie nastąpił spadek produkcji rolnej, Tradycjonalista znów może uderzyć w konkret i stwierdzić, że susza jest groźna w połączeniu z innym czynnikiem, jakim jest brak tradycji uprawy ananasa na danym terenie. Gdy zauważymy, że tej tradycji nie ma również w Zimbabwe, Tradycjonalista przeskoczy wtedy na płaszczyznę ogólną i stwierdzi, że łatwiej dać sobie radę z brakiem tradycji, gdy ma się wykształconą miejscową kadrę średniego nadzoru rolnotechnicznego (jak ma to miejsce w wypadku byłych kolonii brytyjskich), niż wtedy, gdy średnia kadra wyjechała do metropolii, bo była biała (jak

ma to miejsce w przypadku byłych kolonii portugalskich). I tak możemy dyskutować z Tradycjonalistą bez końca, bo dla niego konkretno-historyczna dialektyka nie służy testowaniu ogólnych tez, lecz ich obronie przed falsyfikacją.

Zastanawiam się, czy nie popełniam nadużycia, pomawiając Tradycjonalistę o to, że w przypadku pewnych twierdzeń o rzeczywistości społecznej dystansuje się wobec empirii i w specyficzny sposób traktuje fakty. Ale chyba nie czynię Mu krzywdy, jeśli na mój pogląd brzmiący *Nie wiemy, dlaczego niektóre twierdzenia (...), np. to o potęgującym się rozwoju sił wytwórczych w następujących po sobie formacjach społecznych, nie znajdują pełnego pokrycia w rzeczywistości*, reaguje on zniecierpliwieniem. Jego — i W. Mejbauma — zdaniem w *warunkach otoczenia kapitalistycznego ustrój socjalistyczny nie jest i nie może być w stanie ujawnić wszystkich swoich potencjalnych zalet*. Teza ta brzmi doprawdy zadziwiająco w ustach kogoś, kto uważa siebie za biegłego w sprawach materializmu historycznego. Znaczy ona tyle, że socjalizm jest koniecznym ogniwem w łańcuchu następujących po sobie formacji społecznych (czy też *epoką przejścia międzyformacyjnego*), ale — w odróżnieniu od innych ogniw czy przejść potrzebuje... ciepłarnianych warunków! Wątła roślina socjalizmu nie może zakwitnąć, dopóki zagłusza ją wybujały chwast kapitalizmu. Czyli, że za niezgodność naszego twierdzenia z rzeczywistością winę ponosi sama rzeczywistość, a konkretnie pewien brzydki jej fragment.

Tradycjonalista traktuje współczesny kapitalizm po macoszemu. Reklamę i kreowanie konsumpcyjnych mód nazywa *praniem mózgow*, a gospodarce zarzuca permanentne niewykorzystanie zdolności produkcyjnych. Ma do tego prawo, choć sądzę, że pod szyldem analizy konkretno-historycznej ukrywa się w tym wypadku selektywne traktowanie danych. Choć Tradycjonalista zarzuca mi dostrzeganie marnotrawstwa *jedynie na pewnych obszarach kuli ziemskiej*, sądzę, że to ja jestem bliżej zasad higieny myślenia o rzeczywistości społecznej. Uwagę Tradycjonalisty zaprzęta fakt, że urządzenia produkcyjne w fabrykach USA wykorzystywane są w — założmy — 90%, moją uwagę zaś fakt, że w Polsce wykorzystanie ich wynosi 70%. Tradycjonalista martwi się wykorzystaniem maszyn w Tajlandii w — dajmy na to — 65%, mnie zaś, że w Wietnamie stopień wykorzystania spadł do 45%. I jeśli Tradycjonalista zechciałby mi zarzucić, że odbiegłszy od rzetelnych marksistowskich metod patrzę na socjalizm przez czarne okulary, to jestem gotów odeprzeć, że on patrzy na świat przez okulary... końskie.

Ja również nie darzę sympatią współczesnego kapitalizmu. Być może ustrój ten prowadzi nas ku wyniszczeniu planety, dezintegracji więzi społecznych, a nawet ku atomowej zagładzie. Jest w tym ustroju coś nieokreślonego i rozpasanego, coś, co urąga ludzkiej racjonalności i elementarne-

mu poczuciu solidarności gatunkowej. Być może sedno jego zła tkwi właśnie w przeroście dynamiki produkcyjnej, która nie może utrzymywać się w takiej skali przez dłuższy czas. Tempo wzrostu gospodarki Japońskiej (8% rocznie) oznacza, że produkcja w tym kraju podwaja się co dziewięć lat. Czyli — przy utrzymującym się dzisiejszym tempie — za sto lat produkcja wzrosłaby względem stanu obecnego dwa tysiące razy. Jest to po prostu niemożliwe.

Ale zarówno konieczność historyczna, jak i oceny natury etycznej nie mogą przesłaniać faktu, iż współcześnie oraz w najbliższym horyzoncie czasu kapitalizm monopolistyczny rozwinął siły wytwórcze w stopniu dla znanych nam form socjalizmu niemożliwym do osiągnięcia. Ktoś, kto nie rejestruje tego zjawiska oraz nie dąży do wyciągnięcia zeń teoretycznych wniosków, nie powinien — moim zdaniem — uważać się za spadkobiercę metody i światopoglądu Marksa. Bo przecież nie sposób zignorować problemu, jaki w naszym wypadku rodzi prawo sformułowane przez Marksa, że *kraj pod względem przemysłowym bardziej rozwinięty wskazuje mniej rozwiniętemu obraz jego własnej przyszłości*.

Drugi poważny zarzut, jaki stawia mi Tradycjonalista, to zarzut *subiektywizmu będącego jedną z licznych odmian psychologizmu*. Zanim do tego zarzutu się ustosunkuję, pragnę zwrócić uwagę, że termin *subiektywizm* funkcjonuje w języku Tradycjonalistów w znaczeniu wartościującym. To, co subiektywne jest lichy i niemądre. Oprócz tego termin ten pozwala rozgrywać swoje wieloznaczności: podmiotowość z jednej strony i dowolność, względność, nietrwałość, znikomość z drugiej. Nazywając moją koncepcję subiektywizmem Tradycjonalista ma nadzieję wywołać u czytelnika skojarzenia z drugim zestawem znaczeń.

Nie obrażam się jednak za to określenie. W podstawowym znaczeniu terminu jestem — w kwestii sił wytwórczych — subiektywistą. Sądzę, że głównymi nosicielami siły wytwórczej są ludzkie podmioty i to głównie traktowane jako jednostki. Od zwolenników koncepcji agregacyjno-indywidualnej różni mnie przekonanie o istnieniu dwóch zasadniczych zjawisk. Pierwsze polega na tym, że jednostka dostosowuje się do poziomu sił wytwórczych w danej grupie w sposób znacznie szybszy (oraz jakościowo odmienny) niż tempo wyznaczane przez proces indywidualnego uczenia się. (Przykład: półdziki Turek z Anatolii przyjeżdża do Wolfsburga w RFN i rozpoczyna pracę przy taśmie montażowej Volkswagena osiągając niemal natychmiast wydajność zbliżoną do wydajności Niemca. Nie osiągnąłby tej wydajności nigdy, gdyby próbował nabyć jej u siebie na miejscu, nawet przy identycznej taśmie montażowej). Drugie polega na tym, że siła wytwórcza, jakiej nośnikami są jednostki nie sumuje się w sposób arytmetyczny. Jednostki-nosiciele wysokiego poziomu sił wytwórczych stanowią-

cy 10% danej populacji są w stanie narzucić zbliżony swojemu poziom pozostałym 90%.

Tak więc zasadniczym ośrodkiem sił wytwórczych są indywidualne podmioty. Materialny moment w całej sprawie polega — moim zdaniem — na tym, że jednostki wrastają w istniejący układ elementów sił wytwórczych w sposób bezrefleksyjny oraz podtrzymują go (również bezrefleksyjnie) tak niezawodnie, że są w stanie zagwarantować pewnym — istotnym dla naszej problematyki — zachowaniom trwanie przez setki lat. Powstałe np. u schyłku epoki feudalnej niektóre wzorce zachowań przetrwały w społeczeństwie polskim zmianę dwóch formacji, dziesiątków typów stosunków produkcji, setek technologii i niezliczonej ilości narzędzi pracy. Opór stawiany przez materię, z jakiej ulepiony jest społeczny podmiot, jest nieporównywalnie większy, niż opór stawiany przez materię fizyczną. Nie wierzę w doskonałą plastyczność człowieka w jaką wierzył Marks (choć sam zakładał trwałość niektórych mechanizmów biologicznych, np. wzrostu potrzeb), a jeśli poruszam się w kręgu ogólników, to z tego powodu, że nie znam związanej z materializmem historycznym koncepcji ludzkiego podmiotu, która tłumaczyłaby wspomniane wyżej zjawiska. Miejmy nadzieję, że dojdzie do jej powstania, choć jeśli Tradycjonaliści dalej szantażować będą subiektywizmem i psychologizmem, to szanse są raczej nieduże.

Wyjaśnijmy jeszcze jedną kwestię. Tradycjonalista twierdzi, że właściwości podmiotów, o których piszę, są *sztucznie odizolowane od rzeczowych czynników procesu produkcji i w istocie im przeciwstawione*. Nie sądzę bym cokolwiek od czegokolwiek sztucznie izolował, choć prawdą jest, że w opisie zjawiska sił wytwórczych przypisuję czynnikowi rzeczowemu rolę drugorzędną. Nie neguję jej zupełnie, ale przypadki, kiedy okazuje się ona decydująca, są — moim zdaniem — rzadkie. Przychodzi mi w tym momencie na myśl, iż być może krytyka Tradycjonalisty wynika w pewnym stopniu z nieporozumienia. Być może wtedy, kiedy ja myślę o siłach wytwórczych, on myśli o czynności produkowania (i stąd to podkreślanie czynnika rzeczowego) *i vice versa*. Aby wyjaśnić ewentualnej różnicę odwołajmy się do wyimaginowanego — choć nie tak znów od znanych przypadków odległego — przykładu.

Mamy oto pustynne państewko, biedne i zacofane. Siły wytwórcze jego społeczeństwa stoją na niskim poziomie, co odzwierciedla się w małej i tandetnej produkcji. Aż nagle na jego terytorium odkryta zostaje wielka ropa. Do kasy szejka płynie olbrzymi strumień petrowaluty. Szejk jest oświecony i postanawia rozwijać rodzimą produkcję (przechodzić od pracy ręcznej do maszynowej). Każe zbudować rafinerię, hutę i stocznię. W zakładach tych z powodu braku kadr miejscowych zatrudnia gasterbaite-rów oraz doradców z krajów rozwiniętych. Chociaż, oczywiście, własnych

obywateli poddaje również intensywnemu szkoleniu. Po dziesięciu latach produkcja wzrasta dwustukrotnie w stosunku do okresu przed wielką ropą.

Zadajemy w tym momencie pytanie: czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat dokonał się w owym kraju wzrost sił wytwórczych?

Odpowiedź Tradycjonalisty winna — jak przypuszczam — brzmieć: ależ oczywiście! Wzrost sił wytwórczych = wzrost produkcji. Specyfiką (konkretno-historyczną) wzrostu sił wytwórczych w tym kraju jest dominacja momentu rzeczowego.

Ja natomiast udzieliłbym innej odpowiedzi: nie jest oczywiste, czy w kraju tym dokonał się wzrost sił wytwórczych, choć oczywiste jest, że dokonał się wzrost produkcji. Mamy tutaj do czynienia z zakłóceniem obrazu sił wytwórczych przez czynniki akcydentalne (o którym to przypadku zresztą wspominałem w artykule). O ich poziomie wnioskować możemy pośrednio (np. z jakości wytwarzanych produktów, z kosztów wytwarzania, z materiało- i energochłonności itp.). Pełny obraz rzeczywistego poziomu sił wytwórczych tego społeczeństwa uzyskalibyśmy jednak dopiero po wyschnięciu źródeł ropy i przerwaniu dopływu środków finansowych. Dopiero wtedy okazałoby się, jaka jest rzeczywista wydajność siły roboczej, jaka jest zdolność współdziałania i jaki poziom wiedzy.

Nikt oczywiście nie broni Tradycjoniście rozumieć na swój sposób pojęcia *siły wytwórcze*. Problem polega na tym, że z tych dwóch odmiennych interpretacji płyną odmienne konsekwencje dla praktyki społecznej. Gdyby dobra wróżka przemieniła Tradycjonalistę w szejka, lokowałby pewnie pieniądze w środkach produkcji i wykształciłby połowę mężczyzn na magistrów, co zgodne jest z przyjętą przezeń definicją. I tak właśnie postępowali Tradycjoniści w naszej części świata. Z czasem jednak (gdy zmieniłyby się źródła energii lub pojawiła dekonjunktura) spostrzegłby, że względem historycznego czasu dreptał w miejscu, że w dalszym ciągu efektywność gospodarowania pozostaje w takim samym stosunku do efektywności gospodarowania w krajach najwyżej rozwiniętych, jak przed wielkim uprzemysłowieniem. Być może wtedy uświadomiłby sobie, że postawił na czynniki historycznie nieistotne i że szansa dezalienacji, opanowania i ukierunkowania biegu wydarzeń wymknęła mu się z ręki.

Zwolennik subiektywizmu i psychologizmu starałby się działać inaczej. Otaczałby opieką i rozwijał wszystko to, przy czym doskonalał się podmiotowe cechy producentów. Jeśli najłatwiej uwagę ich absorbuje szycie sandałów i pośrednictwo handlowe, jeśli w tych czynnościach osiągają najwyższą biegłość we współdziałaniu, zdolność kontrolowania siebie i materii oraz kreatywność, niech raczej będą rymarzami i handlarzami, aniżeli hutnikami i stoczniowcami. Jeśli oczywiście zapewni się im dostęp

do wiedzy i umiejętnie przekształca instytucje społeczne, z czasem zajmą się handlem na skalę międzynarodową i zaczną otwierać nowoczesne fabryki butów. Ich sytuacja będzie o tyle dobra, że staną się względnie niezależni od czynnika rzeczowego. Jako biegli handlowcy i producenci galanterii skórzanej potrzebni będą w każdych warunkach i na każdym obszarze. Zapewnią sobie — językiem ekonomii mówiąc — trwałą pozycję w międzynarodowym podziale pracy.

W ten oto sposób subiektywny psychologista uwzględnia konkretno-historyczne warunki w praktyce a nie w sferze deklaracji.

Powyższy przykład kieruje nas ku problemowi, dlaczego Marks nie zdawał sobie sprawy z doniosłości momentu podmiotowego, przynajmniej w tym kontekście. Otóż dysponował on znacznie mniejszym zasobem historycznych doświadczeń. Obracał się w kręgu państw *produjących*, gdzie moment subiektywny i rzeczowy stanowią dwie strony tego samego modelu — po prostu producenci używają narzędzi wytworzonych przez innych, ale będących na tym samym szczeblu rozwoju sił wytwórczych, producentów. Zmiany w rynku światowym, jakie zaszły od tego czasu, sprawiły, że zjawisko za czasów i w świadomości Marksa marginalne urosło współcześnie do jednego z głównych problemów. Polega ono na tym, że obecny rynek światowy zapełniony jest środkami produkcji wytworzonymi w warunkach wysokiego poziomu sił wytwórczych, natomiast większość dostępnej na rynku siły roboczej reprezentuje znacznie niższy poziom tychże sił. W rezultacie ekonomiczne standardy eksploatacji środków produkcji (które swoją drogą są znacznie łatwiej dostępne, niż za czasów, Marksa) mogą być zrealizowane tylko kosztem — i tak już niskiej — siły wytwórczej producentów. Jeśli na tej samej maszynie produkuje Amerykanin i Meksykanin, to produkt Meksykanina jest z reguły gorszy, a zatem by wyrównać jego wartość rynkową (którą spłaca się koszt maszyny), trzeba Meksykaninowi zapłacić mniej lub zaciągnąć dług. Ta prosta konieczność w zupełnie innym świetle stawia zagadnienia wyzysku, neokolonializmu itp. Jest to olbrzymie pole do popisu dla uczniów Marksa (Lenin np. wyczuwał problem, wciąż mówił o znaczeniu podniesienia *kultury* robotnika, ale nie dokonał żadnych analiz teoretycznych).

Na zakończenie muszę stwierdzić, że jeden zarzut Tradycjonalisty uznaję za trafny i doniosły. Faktycznie nie udało mi się dokonać jasnego i przekonującego rozróżnienia między siłami wytwórczymi a czynnikami sprzyjającymi ich rozwojowi. Tym bardziej, że uważam, iż to, co się tradycyjnie przez siły wytwórcze rozumie (wiedza, narzędzia, organizacja itp.) stanowi właściwe podłoże rozwoju tego, co ja za kwintesencję sił wytwórczych przyjmuję. Na swoje usprawiedliwienie mam fakt, że opracowywanie powyższego problemu jest zagadnieniem czysto teoretycznym, interpretacyj-

nyrn. Ja zaś zawsze byłem bardziej przejęty *11 Tezą o Feuerbachu*, niż analizami z *Kapitału*.

Marksizm nie jest w moim mniemaniu zabawą w układanie intelektualnych klocków. Z filozofią marksizmu był i jest związany los półtora miliarda ludzi. Korzystają oni z osiągnięć teoretycznych i praktycznych doktryny, ale również płacą za jej błędy — płacą całym swoim życiem.

To właśnie przed tymi ludźmi, a nie Mistrzem i jego Metodą winien rozliczać się ze swej intelektualnej pracy uczeń Marksa. To, co pisze i mówi nie musi brzmieć *po marksistowsku*, ważne jedynie, by konsekwencje praktyczne, jakie za sobą pociąga, sprawiały, że życie *empirycznych osobników* przedstawia sobą większą sumę wartości. Jak się o tym przekonać? Trudność nie jest aż tak wielka. Każdy z nas jest człowiekiem i dysponuje dostateczną zdolnością empatii, by wiedzieć, czy inni, za warunki życia jakie im stworzył, chwala go, czy przeklinają.